

Dom Jagny

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

Dom był świeżo obielony, choć nieco oblaźł z wapna na wilgoci, a widniał już z daleka, bo i umajony był jak na Świątki. Chłopaki jeszcze wczoraj nawtykali świerczyny w strzechę, to w szpary ścian, gdzie się ino dało, a całe opłotki od drogi do sieni wysypali jedliną — pachniało jak w borze na zwiesnę. A i wewnątrz wyporządzone było galanto. Po drugiej stronie, gdzie był skład rupieci, buzował się tęgi ogień i kucharowała Ewka od młynarza przy pomocy sąsiadek i Jagustynki. Z pierwszej zaś izby wynieśli wszelki sprzęt zbytni do komory, że ostały ino obrazy, a chłopaki ustawiali pod ścianami ławy mocne a długie stoły. Izba też była wybielona z nowa, wymyta, a komin przysłonięty modrą płachtą, cały zaś pułap i belki, poczerniałe ze starości, Jagusia suto przystroiła wycinankami. Maciej był przywiózł z miasta kolorowych papierów, a ona wystrygnęła z nich kółek strzępiastych, to kwiatuszków, to cudaków różnych, jako: kiedy psy gonią owce, a pasterz z kijem za nimi leci, abo zaś i procesję całą, z księdzem, z chorągwiami, z obrazami i inne różności, że spamiętać trudno, a tak wszystko utracone i foremne kieby żywe, aż się ludzie wczoraj na rozplecinach dziwowali. Umiała ona i nie takie, a wszystko, co ino zamyśliła abo na co spojrzała... że nie było w Lipcach chałupy bez tych jej strzyżek...

Jesień

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

Jesień szła coraz głębsza. Blade dnie wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze — niby te święte Hostie w dogasających brzaskach gromnic. A co świtanie — dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach, i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i kra - kały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężale, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łza — krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię. — A co świtanie — wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwotą i pustką pól, i ciszej, trwożniej tętniło życie samo — a niekiedy przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogacie, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przeżuując z wolna, zatapiały ślepią w przestrzeń daleką... daleką...i kiedy niekiedy głuchy, żalosny ryk tłukł się po pustych polach. A co świtanie — mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią kracząc głucho — jakoby pieśń zimy śpiewając żalosną.

Kultura chłopska – posilek u Boryny

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

No, siadajcie, ludzie kochane, co jest, to zjemy! – zapraszał stary. Obsiedli po ceregielach różnych, jak to obyczaj każe, ławę i z wolna jedli, a raz w raz pogadywali. Z misek dymiło parą, że przysłoniła wszystkich jak chmurą, z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słyszeć było. Jadło zwarzyli wybrane, aż się dziwił niejeden, bo i ziemniaki z rosołem były, i mięso gotowane z prażoną jęczmienną kaszą, i kapusta z grochem – rzetelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna cięgiem zapraszał a przymuszał, a Józia ze swej strony i Hanka pilnowały by zasię dolać i dołożyć...

Wesele - Taniec

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

To i z nagłą huknęli w instrumenty obertasy, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklękaniem z nagłą zawijał, to trzających po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siarczyście i tan wiódł zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wicherą, że grała kolorami, mieniała się i wiła coraz prędzej, wścieklej, zapamiętałej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchlą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzącym srebrem wskrós ciemności i wskrós wirującej gęstwy ludzkiej [...]

I tańcowali! ...Owe krakowiaki [...] ...Owe mazury [...] ...Owe obertasy [...] Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami. Bo tak ano chłopski naród weseli się w przygodny czas. [...]

Wywarli drzwi na rozcież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splątało [...] z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Fragment opowiadania „Orka” Władysława Reymonta

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! — wyrzekł uroczyście chłop i przeżegnawszy się z namaszczeniem, ujął za pług. — Wio! Powoluśko a krzepko! — Smagnął batem z przyzwyczajenia. Pług, zaprzężony w krowę i troje ludzi, werznął się w ziemię i odwałł czarną, lśniąca skibę. Grunt był ciężki, stare koniczynisko wytarte do ostatniego ździebła i ubite niby klepisko, ze chociaż pług szedł płytko, skiba kładła się ostro, nastroszona.

Starucha ledwie kształtem dająca pozór człowieczy rozbijała motyczką twarde grudy, kilka wron podskakiwało za nią, wybierając z bruzdy pędraki.

Orka szła niezmiernie ciężko i powoli, pług był stary, na kółkach, i zaprzęg lichy: w pierwszą parę ciągnęła kobieta z krową złączona wspólnym, drewnianym jarzmem, zaś na przedzie, zaprzężeni w rodzaj szorów, mozoliła się rosła dziewczyna z chłopakiem. Krowa była jeno szkieletem, obciągniętym poszerszeniałą skórą, a ludzie zaledwie cieniami. Długi uparty głód jednak wyzierał im z oczów; okryci w łachmany, wynędzniali, bosi ciągnęli jednak zgodnie bez skarg i wyrzekań, przyginając się w strasznym wysiłku do ziemi, a z taką mocą, że trzeszczały orczyki i postronki.

Kopanie ziemniaków

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

— Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele! — mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcąca się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyszać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieliły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

Żniwa

Fragment „Chłopów” Władysława Reymonta

Wieś ostała pusta i jakby wymarta, chałupy były pozawierane, bo wszystko, co jeno żyło i mogło się dźwignąć z miejsca, ruszało do żniw, że nawet dzieci, nawet stare i schorzałe, nawet pieski rwały się z postronków i ciągnęły od opustoszałych domostw za narodem.

Że już na wszystkich polach, jak jeno było można sięgnąć okiem, w straszliwym skwarze, wśród zbóż złotawych, w rozmigotanym i ślepiącym powietrzu, od świtu do późnego wieczora połyskiwały sierpy i kosy, białały koszule, czerwieniały wełniaki, gmerali się niestrudzenie ludzie i szła cicha, wyteżona robota i nikto się już nie lenił, na somsiadów nie oglądał, o niczym drugim nie myślał, a jeno, przygięty nad zagonem kiej wół, w pocie czoła pracował.

A wkrótce po paru dniach, że czas był wybrany i pogody ciągiem dopisywały, to wzięli pożęte zboża wiązać w grubachne snopy, ustawiać je na zagonach mendlami, a z wolna przewozić do Lipiec.

Że już bez przerwy toczyły się ciężkie, nastroszone wozy; toczyły się ze wszystkich pól, wszystkimi drożynami i do wszystkich na ścieżaj powywieranych stodół, jakoby sypkim złotem nabrane fale rozlały się po drogach, podworcach i klepiskach, trzęsły się nawet nad staw, nawet u drzew nad drogami wisiały złote, słomiane brody, a wszystek świat rozpachniał się przywiedłą słomą, trawami a młodym ziarnem.

Już gdzieniegdzie po stodołach biły cepy, spieszenie młójące na chleb. A na przestronnych, pustoszejących polach, na złotawych rżyskach, stada gęsi bobrowały chciwie za kłosami, pasły się całe zgony owiec i krów, kaj niekaj dymiły pierwsze ognie, a już po całych dniach rozgłaszały się dzieuszyne przyśpiewki, wrzaski radosne, nawoływania, turkoty wozów i jaśniały opalone, szczęsne twarze ludzi.

I nie położyli jeszcze żyta, to już po górkach owsy skamlały się o kosy, a jęczmiona dojrzewały prawie na oczach, a pszenice coraz złociściej rdzawiały, że nie było czasu odzipnąć ni nawet podjeść jako tako, ale mimo tej ciężkiej pracy i takiego utrudzenia, iż niejeden zasypiał nad miską wieczorami, kiej pościgali z pól. Lipce jaże się trzęsły od wrzawy radosnej, śmiechów, rozpowiadań, śpiewań a muzyki.